

♪ [PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: Audycje kulturalne – w dobrym tonie.

SYLWIA BŁAŻEJ: Przed mikrofonem Sylwia Błażej. Zapraszam do wysłuchania rozmowy z Mateuszem Smoczyńskim – skrzypkiem jazzowym i kompozytorem.

♪ [PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

♪ [MELODIA]

SYLWIA BŁAŻEJ: 12 marca można było usłyszeć twój drugi koncert skrzypcowy w studiu imienia Witolda Lutosławskiego w Warszawie, ale zanim o tym utworze, to chciałam powrócić do przeszłości – do twojego pobytu w San Francisco. Czy to niejako ukierunkowało ciebie jako artystę i kompozytora?

MATEUSZ SMO CZYŃSKI: Na pewno w wielu aspektach tak, chociaż zawsze zostawiałem sobie siebie samego, znaczy zawsze pamiętam, że atutem w Stanach było to, że jestem Polakiem, że nie jestem kimś, kto próbuje robić tam amerykańskie rzeczy, tylko że robiłem swoje rzeczy z tą nutką amerykańską, czyli zawsze można było znaleźć w tym, co robiłem, jakieś nawiązania do polskiej muzyki – czy to muzyki poważnej, czy to do muzyki folkowej. A ja często o tym mówię, że jako dziecko jak kształciłem się w szkole muzycznej, ale grałem też w kapeli ludowej, którą moi rodzice prowadzili i równocześnie pasjonowałem się muzyką jazzową, i te trzy światy gdzieś tam w mojej duszy grają, i niezależnie, czy jestem tutaj w Polsce, to słysząc inspirację muzyką amerykańską, czy jestem w Stanach i słysząc te źródła polskie we mnie, myślę, że to wszystko składa się właśnie na Mateusza Smoczyńskiego.

SYLWIA BŁAŻEJ: Okazja występowania z Turtle Island Quartet było chyba nie lada wyróżnieniem, ale z tego, co wiem, nie była to łatwa dla ciebie decyzja, aby rzucić niemalże wszystko tutaj w Polsce i wybrać się tam na łącznie chyba cztery lata.

MATEUSZ SMO CZYŃSKI: Tak, to były cztery lata bardzo intensywne. Może też zacznę od tego, że wymyślenie zespołu Atom String Quartet, który w Polsce aktualnie ma dosyć sporo pracy i dużo sukcesów, było związane z tym, że kiedyś usłyszałem Turtle Island Quartet, dostałem od kogoś nagranie tego zespołu i pomyślałem sobie wtedy, że tak, rzeczywiście Kwartet Smyczkowy jest to zespół, w którym da się grać muzykę improwizowaną, da się grać groove'y, da się grać muzykę swingującą, da się grać nawet rocka, czy wszystkie rozrywkowe gatunki i właśnie Turtle Island Quartet to mi udowodnił, i kiedy ich usłyszałem, to zbiegło się z czasem, kiedy zdałem na studia do Akademii Muzycznej imienia Fryderyka Chopina. Tam spotkałem Dawida Lubowicza, o którym wiedziałem, że też improwizuje i pierwsze, o co go zapytałem, to czy zna Turtle Island Quartet i czy może by był zainteresowany, żebyśmy zrobili coś na kształt tego zespołu. I powstał właśnie Atom String Quartet na wzór Turtle Island Quartet. Po dwóch latach działalności Atom String Quartet dostałem maila ze Stanów, czy byłbym zainteresowany, żeby przyjechać i zagrać przesłuchania do ich kwartetu. Oczywiście się zgodziłem. Nie myślałem, że to wszystko tak się potoczy, bo pojechałem do Stanów, zagrałem to przesłuchanie w jakimś małym lobby hotelowym w Nowym Jorku i od razu dostałem propozycję, żeby do zespołu dołączyć. Ich zdziwienie było ogromne, kiedy powiedziałem, że

chyba nie dam rady, bo mam bardzo dużo zobowiązań w Polsce. Atom String Quartet wtedy właśnie było na pozycji wznoszącej i mieliśmy bardzo dużo pracy. Ja sam miałem jeszcze dwa inne zespoły – mój kwintet oraz trio, z którym dużo pracowałem, ale przekonałem się do tego, że jednak warto spróbować. Kolega Łukasz Poprawski, wybitny saksofonista, powiedział mi, że zawsze do Polski można wrócić i miał rację. Ale też z takich ciekawostek, ja nie zrezygnowałem z niczego, co miałem w Polsce, tylko starałem się jakoś to wszystko łączyć. Co prawda było to bardzo kosztowne dla mojego portfela, bo dla zespołu amerykańskiego, czyli dla Turtle Island Quartet mieszkalem w San Francisco, czyli opłacono mi tyle, co kosztowały przeloty z San Francisco. Z kolei dla kolegów z Atom String Quartet ja mieszkalem w Warszawie i wszystko, co pomiędzy, to po prostu było na mój koszt. Z tego, co policzyłem, sześć lotów międzykontynentalnych miesięcznie średnio przez cztery lata.

SYLWIA BŁAŻEJ: To sporo [śmiech].

MATEUSZ SMO CZYŃSKI: No, to sporo. [śmiech] Pamiętam, to był taki moment, kiedy wchodząc na pokład, po prostu byłem witany przez stewardessę z imienia i nazwiska, tak to wtedy wyglądało, ale może rzeczywiście nie obłowilem się na tym wszystkim jakoś szczególnie, ale mam duży dorobek i dużo się nauczyłem. Po pierwsze, z grania z Turtle Island Quartet, po drugie z prowadzenia w dalszym ciągu Atom String Quartet, po trzecie, z logistyki, jak to wszystko ze sobą łączyć, po czwarte zobaczyłem bardzo wiele sal koncertowych, bo my z Turtle Island Quartet graliśmy naprawdę na największych salach koncertowych w Stanach i na tych najważniejszych, więc to było doświadczenie życiowe, które, myślę, że nadal mi procentuje w mniejszym lub większym stopniu. Myślę, że Turtle Island Quartet jest już na świecie na tyle legendarnym zespołem, że gdyby coś się wydarzyło, odpukać, to zawsze będzie mi łatwiej zdobyć jakąkolwiek pracę za granicą, bo mówienie, że grałem w Turtle Island Quartet – w kwartecie, który zdobył dwie nagrody Grammy – jest po prostu przepustką do wielu drzwi.

SYLWIA BŁAŻEJ: Tak i na pewno to coś znaczy, ale z Atomami też macie Fryderyka chociażby na koncie, ale nie o Atomach i nie o kwartetach, dzisiaj o twoich kompozycjach. W 2018 roku skomponowałeś swój pierwszy koncert. Jest to, jak mówisz, pełnowymiarowy koncert skrzypcowy, inspirowany twórczością Johna Adamsa. Dlaczego akurat wybór padł na tego kompozytora?

MATEUSZ SMO CZYŃSKI: Kiedy wróciłem w 2016 roku ze Stanów, usłyszałem muzykę Johna Adamsa w Polskim Radio i było to ogromne zaskoczenie, ponieważ był to nowy smak, którego jeszcze nigdy nie próbowałem. Było to jak pierwsze spróbowanie cytryny, czyli ja pamiętam, był to utwór „Naive and Sentimental Music”, który zresztą kilka dni temu usłyszałem w wykonaniu samego Johna Adamsa w Zurychu w Tonhalle i wtedy też udało się z nim spotkać, i porozmawiać, ale to już taka znowu dygresja. Kiedy usłyszałem po raz pierwszy „Naive and Sentimental Music” w drugim programie Polskiego Radia, to był na tyle nowy smak, że nie wiedziałem przez pierwsze parę sekund, jak ja mam na to zareagować. Nie wiedziałem, czy ta muzyka mnie irytuje, czy mnie wciąga, czy mnie denerwuje, czy może mi się bardzo podoba. Jednak mnie to wciągnęło na tyle, że musiałem dosłuchać do końca utworu i od tego momentu stałem się psychofanem Johna Adamsa. Zacząłem słuchać wszystkie jego dzieła i się dziwiłem, jakim cudem mogłem nie znać tego genialnego kompozytora. No okazuje się, że w Polsce on jest w dalszym ciągu dosyć rzadko grywany. Chcę to zmienić, bo mam plan, żeby ściągnąć

Johna Adamsa i zagrać jego utwór „The Dharma at Big Sur”, który napisał dla innego, byłego członka Turtle Island Quartet, na którego miejsce ja wskoczyłem. Chciałem ten utwór wykonać może za kilka lat, dlatego między innymi byłem w Zurychu, ale właśnie ten smak tak mi się spodobał, ja poznałem, że piękno może być nie tylko w czymś pięknym, ale również w brzydocie, bo te tematy, które John Adams wplótł w „Naive and Sentimental Music”, w niektórych momentach rzeczywiście były bardzo brzydkie, atonalne i oparte były na bardzo tonalnej harmonii, i to mnie bardzo urzekło w jego twórczości. I kiedy to usłyszałem, to mój świat się zmienił. Ja po tych czterech intensywnych latach latania pomiędzy Stanami, Polską, granicami naprawdę mnóstwa koncertów z jednym i drugim zespołem, z trzecim zespołem, jeszcze z jakimiś orkiestrami, ja byłem trochę przemęczony i przesycony muzyką, którą już znałem. Nie miałem pasji do tego, żeby znowu słuchać. Ja kiedyś byłem totalnym fanem, nadal jestem, Karola Szymanowskiego, Johna Coltrane'a, Wayne'a Shortera, ale to już mi się trochę przepaliło i potrzebowałem nowego paliwa, i tym nowym paliwem okazał się John Adams. Słuchałem mnóstwo jego nagrań, naprawdę wielu nagrań przez ostatnie lata. Myślę, że większość z nich znam bardzo, bardzo dobrze i to zmieniło podejście moje do muzyki, i to się zbiegło z tym, że napisałem najpierw na Atom String Quartet taki utwór „Kosmos”, który wykonywaliśmy z Leopoldinum – orkiestrą. Później z kolei dostaliśmy razem z Atom String Quartet zaproszenie, żeby napisać coś na orkiestrę symfoniczną w Szczecinie i też próbowałem to robić w stylu Johna Adamsa. Wysiliłem się jego jakimiś tam pomysłami, inspirowałem się jego muzyką. No i kiedy zagraliśmy ten utwór na orkiestrę symfoniczną, ja po premierze poczułem taką wewnętrzną pustkę. Pustka, która, nawet zastanawiałem się, czy to nie jest jakaś depresja, że po prostu skończył się jakiś etap. Zagraliśmy to, to się odbyło, mnóstwo emocji i rano wstałem, i tak poczułem, że ja muszę coś dalej pisać, i wykonałem telefon do jednego z organizatorów z NOSPR-u. I on mi mówi: „W świetnym momencie dzwonicz, bo właśnie wczoraj nam spadł symfoniczny koncert i potrzebujemy na Zaduszki Jazzowe coś nowego”. I wymyśliliśmy, że ten koncert będzie się nazywał „Koncerty polskie”. Był tam grany koncert Zbigniewa Seiferta, który również ja wykonywałem z Joachimem Kühnem, Michałem Miśkiewiczem i Sławkiem Kurkiewiczem w sekcji rytmicznej oraz z orkiestrą NOSPR-u. Wykonany był również utwór Jana „Ptaszyna” Wróblewskiego na saksofon altowy, który grał Henryk Miśkiewicz oraz właśnie była premiera mojego koncertu skrzypcowego „Adam's Apple” w 2018 roku, czyli od mojego telefonu do organizatora do premiery miałem jedyne pół roku, żeby to napisać. Rzeczywiście jak ja piszę, wydaje mi się, że robię to dosyć ślamazarnie i wolno, bo naprawdę to są długie godziny, które się siedzi przed komputerem, ale później, jak się zastanawiam, że przecież w dwa miesiące napisałem utwór, a w międzyczasie zagrałem, nie wiem, z trzydzieści koncertów, [śmiech] to musiałem być nie tak długo w tym domu, to może mi się wydaje, żeby mi to wolno idzie, ale ja tutaj z kolei też taką dygresję krótką zrobię, że ja mam brata pianistę – Jana Smoczyńskiego, który dzięki temu, że gra na harmonicznym instrumencie i dzięki temu, że on lubi wczesnie wstawać, często jest tak, że jak robimy wspólną płytę, to on potrafi o ósmej rano już mi wysłać trzy jakieś gotowe utwory, które są wspaniałe, a ja jeszcze nie zdążyłem zjeść śniadania, prawda? [śmiech] Więc tutaj miałem takie tempo i zawsze wydawało mi się, że jestem tym ślamazarnym kompozytorem i rzadko się brałem, bo myślałem, że nie mam po prostu do tego talentu, ale właśnie inspiracje muzyką Johna Adamsa i to, że też usłyszałem wiele wywiadów, gdzie John Adams mówił, że jemu zwłaszcza na początku praca idzie dosyć wolno, że on jest klarncystą, że on nigdy nie umiał grać na fortepianie zbyt dobrze i to też sprawia, że pisze w ten, a nie inny sposób, sprawiło, że

pomyślałem sobie – jeśli ktoś taki się zмага, to ja nie mogę narzekać, bo nie jestem tak zdolny jak John Adams, to na pewno, ale muszę więcej pracować, muszę więcej niż on i tak naprawdę dla mnie to będzie trudniejsze pisanie niż dla niego, bo nie mam aż takiego dużego doświadczenia. Jeśli on narzeka, no to... no to co ja mam powiedzieć, prawda? [śmiej] I to mi dało takie odbicie, ja trochę uwierzyłem w siebie, w to, że mogę pisać. Napisałem ten koncert, który nosi tytuł właśnie „Adam's Apple”. Ten apostrof w tytule koncertu mógłby być trochę w innym miejscu, bo chodzi mi o Johna Adamsa. Ostatnio jak mu wręczyłem partyturę swojego utworu, no to był bardzo taki mile poruszony albo udawał mile poruszonego, ale właśnie powiedział, że to jest wspaniałe i że bardzo mi dziękuje. Dałem mu tą partyturę, mam nadzieję, że kiedyś zerknie do niej i posłucha nagrania, które się udało zrobić. I to był ten pierwszy koncert, w którym jest mnóstwo elementów właśnie inspirowanych twórczością Johna Adamsa, ale nie tylko, bo również i Turtle Island Quartet, które gdzieś tam w głębi mnie jest. Wszystkie te techniki, które stosuję w „Adam's Apple” – one też wywodzą się właśnie z muzyki bluegrass, one się wywodzą z Turtle Island Quartet, które zresztą jest takim połączonym zespołem z muzyków grających muzykę klasyczną, jazzową i muzykę bluegrass, więc to tam wszystko się ze sobą pięknie miesza i ja z tych technik również korzystałem właśnie przy pisaniu swojego koncertu, dlatego on nie jest zupełnie w stylu Johna Adamsa, ale jest to styl Johna Adamsa łamany na Turtle Island Quartet, Atom String Quartet, doświadczenia Mateusza Smoczyńskiego w graniu muzyki Szymanowskiego, klasycznej oraz w graniu muzyki ludowej i to wszystko się tam na pewno znajduje.

SYLWIA BŁAŻEJ: Ja tam nawet usłyszałam Aarona Coplanda, więc wydaje mi się – ile osób, tyle różnych muzycznych skojarzeń. Nie poprzestałeś na tym jednym utworze, ostatnio, tak jak wspomniałam, na początku mogliśmy wysłuchać twojego drugiego koncertu, nawiązującego znowu do Stanów Zjednoczonych, ale nie do muzyki bezpośrednio, ale do Davida Lyncha i do jego „Miasteczka Twin Peaks”.

MATEUSZ SMOCZYŃSKI: Tak, to prawda. I tutaj zawsze opowiadając historię o tym nowym koncercie, muszę powiedzieć, jak nieszczęście można przekuć w szczęście, bo w momencie, kiedy nastąpiła pandemia, kiedy był lockdown, wszyscy musieliśmy zostać w domu, ja w pierwszych dwóch miesiącach straciłem około trzydziestu koncertów i to było coś takiego... w sumie z jednej strony się zdenerwowałem trochę na to, ale z drugiej strony sobie pomyślałem, że przecież mam tyle zobowiązań, bo dostałem stypendium na napisanie kompozycji, musiałem skończyć pisanie doktoratu. Tak sobie myślałem: „Jakim cudem ja chciałem to w ogóle zrobić, grając te koncerty? A tutaj czas, deadline'y są, to w ogóle to by było niemożliwe”. Więc skorzystałem z tego, że przymusowy lockdown był, musieliśmy wszyscy siedzieć w domu i zacząłem po pierwsze się trochę relaksować, bo wieczorami odpalałem sobie filmy. Obejrzałem całego Lyncha, jestem no ogromnym fanem jego twórczości. Widziałem w przeszłości kilka filmów, ale nigdy nie oglądałem ich tak szczegółowo. Widziałem też fragmenty „Miasteczka Twin Peaks”, kiedy byłem małym chłopcem i po prostu z zamkniętymi oczami, czasami tylko lekko uchylałem oko, żeby zobaczyć, co tam się dzieje. Miałem takie trochę straszne odczucia na samą myśl o tym serialu. On wywoływał we mnie takie specyficzne skojarzenia, że bałem się powrócić do tego filmu. Widziałem kilka odcinków w młodości, ale właśnie bałem się wrócić do obejrzenia całości. Jednak w momencie, kiedy właśnie ten lockdown się zaczął, ja zacząłem wertować bibliotekę, co mogę obejrzeć i zobaczyłem, że jest trochę filmów Lyncha, no i

wszystkie naprawdę tak mi się spodobały, że w pewnym momencie pomyślałem – dobra, to jest moment, żeby wrócić do „Miasteczka Twin Peaks”. I już na samym początku, bo obejrzałem najpierw „Ogniu kroc za mną” – ten film. Generalnie obejrzałem to chronologicznie według historii, która się dzieje w samym filmie, a nie według tego, jak ten film powstawał, serial, więc najpierw obejrzałem film, który dzieje się przed całym pierwszym sezonem serialu i kiedy obejrzałem film, szukałem ciekawego pomysłu na odbicie się z moją kompozycją, znaczy, żeby zacząć o coś, zahaczyć, żeby było coś charakterystycznego. I tak sobie pomyślałem, że przecież to ma być koncert podwójny, bo Piotr Baron miał być drugim solistą, więc już samo słowo „Twin” świetnie pasuje. „Peaks” też może być fajnym takim nawiązaniem do tego, że to jest jakieś spotkanie z jednym z najwybitniejszych saksofonistów polskich, więc pomyślałem – no, to na pewno jest jakiś peak, [śmiech] to może rzeczywiście zostawmy taki tytuł i też ja coraz częściej prowadzę warsztaty z... kompozycją, czyli jak ja się zabieram do pisania kompozycji, to coraz częściej o tym mówię, że warto sobie postawić takie cele i nawet wymyślić tytuł, zanim zaczniemy pisać, bo to od razu sprowadza nas na jakąś ścieżkę, możemy zacząć pisać, wiedząc, w którym kierunku będziemy podążać. I wiedziałem, że chcę, żeby ta moja kompozycja była nieco surrealistyczna, a chciałem, żeby nawiązywała do serialu. Jest tam mnóstwo takich bezpośrednich, może niebezpośrednich nawiązań. Jednym z takich przykładów jest krzyk Laury Palmer, który ja zrobiłem w taki sposób, że kolega grał na gwizdku, który naprawdę brzmi miejscami identycznie do tego, jak Laura Palmer w filmie krzyczała.

[DŹWIĘK]

MATEUSZ SMOCZYŃSKI: Jest też dużo takich nawiązań do samej historii, bo trzeci (ten najnowszy) sezon kończy się na tym, że Laura Palmer i Dale Cooper przyjeżdżają do Twin Peaks pod jej dom i oni nie wiedzą, w którym roku się znajdują, i ona zaczyna krzyczeć, tak jak dokładnie to robiła, zanim Dale Cooper uratował Laurę Palmer przed śmiercią. Wiem, że to brzmi wszystko tak bardzo skomplikowanie, bo rzeczywiście nie jest to prosta historia i generalnie o tą samą historię tam w tym filmie nie chodzi, bo tych historii i tych płaszczyzn w samym filmie jest mnóstwo. Ale do czego zmierzam, że ten krzyk na końcu jest i u mnie w kompozycji, że mój utwór kończy się tym, że wracamy do punktu wyjścia i po prostu Laura Palmer krzyczy.

SYLWIA BŁAŻEJ: I jej dwa charaktery.

MATEUSZ SMOCZYŃSKI: Dwa charaktery tak, właśnie to zderzenie dobra i zła. Mam nawet jedną część w tym swoim koncercie „Twin Peaks”, która się nazywa „Laura” i tam skorzystałem z tego, że właśnie mamy dwa instrumenty, że Laura ma dwa zupełnie odmienne charaktery – ten dobry, jak jest młodą, rozkochaną dziewczyną i ten drugi, który się dzieje wieczorami, kiedy nawiedza ją jakiś demon. I wykorzystałem dwa kontrastujące instrumenty, żeby te dwa charaktery przedstawić. Właśnie skrzypce, które były tym pięknym, śpiewnym instrumentem, tym dobrym instrumentem, bo przecież Laura, przecież ona jeździła pomagać ludziom, pracując w restauracji, zawoziła im jedzenie. I drugi charakter – ten zły – cieszę się, że właśnie to grał Piotr Baron, bo on potrafi w stylu postcoltranowskim świetnie grać i dałem tam parę takich miejsc bardzo groźnych, i ten saksofon świetnie się do tego sprawdził. Nawet w nutach napisałem, że to ma być krzyk, taki ostry, atonalny krzyk saksofonu, który właśnie w latach

60. John Coltrane bardzo często stosował i mi to świetnie pasowało do samej koncepcji odzwierciedlenia dwóch różnych charakterów Laury Palmer.

SYLWIA BŁAŻEJ: Ale nie powiedziałaś ostatniego słowa jako kompozytor takiej formy koncertu podwójnego. Wiem, że pracujesz nad kolejnym – koncert na skrzypce, fortepian, orkiestrę. Gdybyś mógł coś więcej o tym powiedzieć. Czy już tytuł jest?

MATEUSZ SMO CZYŃSKI: Tytułu jeszcze nie mam niestety. Będę niedługo nad tym intensywnie myśleć, bo czas już się zbliża, żeby zintensyfikować pracę nad tym utworem. Nie miałem za dużo czasu, dużo się działo w ostatnich dniach, więc nie miałem czasu, żeby się na tym skupić, ale obiecuję, że już niedługo idę do intensywnej pracy i zacznę coś myśleć na temat tego utworu.

SYLWIA BŁAŻEJ: Mhm, a dla kogo tym razem?

MATEUSZ SMO CZYŃSKI: No właśnie, tutaj może zdradzę tą tajemnicę, że tym razem będę pisać dla wybitnego pianisty, polskiego pianisty Janusza Olejniczaka. Jest to pianista, którego jestem ogromnym fanem. On gra tak ślicznie, że ile razy, bo wspólnie gramy w projekcie „Głosy gór” od ponad chyba dziesięciu lat i ile razy słyszę Janusza na żywo, no to po prostu mam ciary na całym ciele, bo to jest no taka fraza, której chyba nikt inny na świecie nie ma.

SYLWIA BŁAŻEJ: I kiedy możemy się spodziewać premiery?

MATEUSZ SMO CZYŃSKI: Ano premiera powinna się odbyć pod koniec bieżącego roku, a więc tego czasu naprawdę zostało mało, tym bardziej że obiecałem, że jakoś w wakacje już dostarczę pierwsze szkice tego nowego utworu.

SYLWIA BŁAŻEJ: Bardzo ci dziękuję za rozmowę.

MATEUSZ SMO CZYŃSKI: Dziękuję również.

♪ [MELODIA]

♪ [PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: Audycje kulturalne – w dobrym tonie.